płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 1—15.II.1989 3

Fot. „National Geographic"

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Jerzy Derkacz

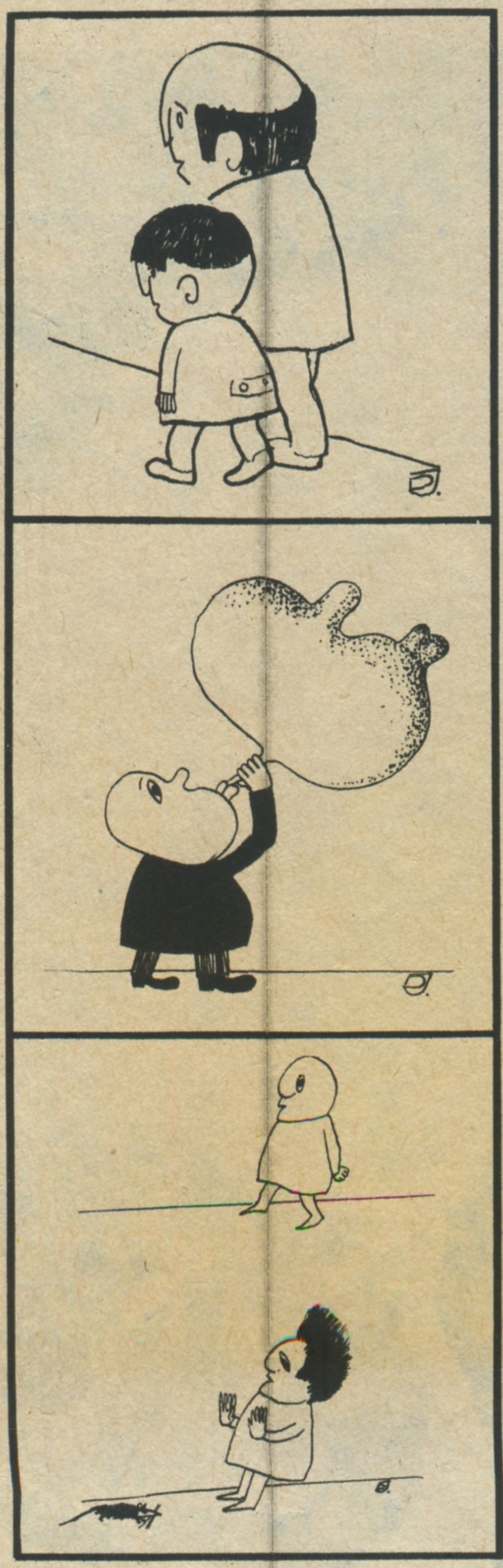

A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE!

NIE WSZYSTKIE powszechnie znane powiedzenia są prawdziwe. Na przykład nieprawdziwe jest przysłowie o chowaniu przez strusia głowy w piasek w razie niebezpieczeństwa. Te największe na kuli ziemskiej ptaki odznaczają się bowiem dużą odwagą.

Wykorzystali to afrykańscy hodowcy owiec, którzy powierzają strusiom obronę pasących się stad.

Odpowiednio wytresowany struś potrafi silnymi uderzeniami dzioba przepędzić podkradającego się do stada drapieżnika. Atakuje także obcego człowieka, który znajdzie się na pastwisku.

●

RYBY morskie — podobnie jak słodkowodne giną od ścieków. Stwierdzono, że wiele gatunków ryb zamieszkujących Bałtyk opuszcza swoje siedliska. Ryby odznaczają się bowiem niezwykle czułym węchem i unikając drażniących zapachów smarów, ropy naftowej i innych zanieczyszczeń porzucają swoje dotychczasowe środowisko przenosząc się do innych obszarów wodnych. Dzieje się tak np. z płastugami i śledziami, które do niedawna były stałymi mieszkańcami Morza Bałtyckiego.

W ODLEGŁOŚCI 1000 kilometrów od bieguna północnego odkryto na starym kontynencie skamieniały las sprzed 45 mln lat. W lesie tym rosły jodły, dęby, sekwoje i wiele innych drzew, których już nie ma na kuli ziemskiej.

●

W TOKIO wyprodukowano urządzenie, które jest bardzo przydatne dla roztargnionych ludzi, gubiących różne przedmioty.

Urządzenie takie składa się z dwóch skrzyneczek wielkości pudełka od zapałek. Jedno z nich umieszcza się na wierzchu walizki, torby lub innego bagażu, drugą właściciel nosi przy sobie. Gdy odejdzie na odległość większą niż 4 metry, pudełeczko, które ma przy sobie, wydaje dźwięki podobne do sygnału telefonicznego.

Urządzenia tego używają również matki udające się z małymi dziećmi np. po zakupy Gdy dziecko zacznie się oddalać, „strażnik" natychmiast alarmuje matkę.

●

Odpowiedź na FOTO-ZAGADKĘ ze str. 30:
Kiść jarzębiny

Nasza okładka

Jak lawina

SEN NIEDŹWIEDZIA

Założył niedźwiedź
piżamę burą,
przykrył się ciepłą
niedźwiedzią skórą
i słodko śpi.

Śnią mu się teraz
lipy pachnące,
zioła na łące,
pszczoły brzęczące,
miód mu się śni.

Wanda Chotomska
Rys. Zdzisław Byczek

KALORYCZNE BUCIKI

Pewnego dnia wieczorem mama Żeńki przywiozła na daczę Dimę i jego siostrę Zinę, a rankiem następnego dnia Dima już stał na brzegu rzeki i łowił ryby. Żeńka rozpalił ognisko i przygotował wszelkie przyprawy do zupy rybnej, ale okazało się, że rybę będzie się jadło bez soli, bez chleba i oczywiście bez żadnych przypraw — po prostu tak, na surowo.

— A dlaczego na surowo? — pytał zaskoczony Żeńka.

— Dla przygotowania mojej drugiej podróży dookoła świata... — spokojnie powiedział Dima.

— Jakiej drugiej? Czyżbyś już odbył pierwszą?

— Naturalnie... W połowie odbyłem.

— W połowie?... To znaczy jak?

— No, rozumiesz, podpłynęliśmy do Afryki z jednej strony...

— Ty i kto jeszcze? — wypytywał Żeńka.

— Ja i załoga, na katamaranie. Wiesz, co to katamaran?

— Wiem — odpowiedział Żeńka. — To statek o podwójnym kadłubie.

— Zgadza się. No, więc podpływamy i widzimy, że na brzegu stoi Murzyn. A obok niego, na ogonie, stoi taka ogromna anakonda. Wiesz, co to anakonda?

— Naturalnie, że wiem. Wąż taki na pięć albo sześć metrów. Zamieszkuje Amerykę Południową!

— Pięć, sześć! A jedenaście nie łaska? No, więc stoją sobie. My z załogą już prawie dobijamy do brzegu, a Murzyn nagle pyta: „Boa dusiciela macie? Jeżeli nie, to nie wysiadajcie. Tu przez dżunglę bez dusiciela nie przejdziecie". U nas, wiesz, do lasu chodzi się z psami, a u nich z dusicielem. Trzeba było odbić...

Podpływamy do Afryki z drugiej strony, a tam na brzegu siedzi całe plemię Nankase i wszyscy palą fajki. Przycumowaliśmy. Aż nagle, w oddali, jakieś trzydzieści kilometrów, widzimy — wali dym. Myśleliśmy, że to pożar. A Murzyn mówi: „To nie pożar, to myśliwi zawiadamiają, że upolowali dwie gazele i antylopę". Okazało się, że oni tym dymem przekazują sobie na odległość myśli. A my nic z tego nie rozumieliśmy. Wyobrażasz sobie?

— Wyobrażam.

— A kto wie, co to za myśli! Może chcą nam zabrać katamaran? Nie ma co, musieliśmy odcumować. A tymczasem nadeszła duża fala i jak walnie! Wszystką żywność zmyło z pokładu. Więc mówię do załogi: „Popłyniemy dookoła świata bez prowiantu, ryb pełno, a w ostateczności zjemy żagle".

Żagle miałem skórzane. A on mi na to: „Wracajmy"...

— Kto?

— Załoga — odpowiedział Dima. — Miszka-smarkaty, tchórz i zdrajca! Wyobraź sobie, że surowej ryby nie chciał jeść! Mówił, że w domu jadł tylko smażoną. A o żaglach nawet słuchać nie chciał. Wyobrażasz sobie?

— Wyobrażam — powiedział Żeńka słabym głosem.

— Chciałem katamaran przepiłować — ciągnął Dima — niechby sobie wracał do domu na „kata", a ja na „maranie" bym popłynął, ale ten, rozumiesz, rozpłakał się...

— Kto się rozpłakał? Katamaran?

— Coś ty! Miszka. Ja — mówił — sam jeden powrotnej drogi nie znajdę. Ja — mówił — zabłądzę na oceanie. No, i trzeba było razem do domu wracać. — Dima umilkł, a potem oświadczył kategorycznie: — Więc rozumiesz, chcę, żebyś ty był przygotowany.

— Ja przecież i tak... — powiedział Żeńka pojmując, że teraz on jest tą załogą, z którą Dima zdecydował się

Ciąg dalszy na str. 6

DWAJ KORSARZE

Na oceanu bezmiarze,
Za domem,
Koło trzepaka,
Spotkali się dwaj korsarze
I zaraz zaczęła się draka.
— To wody terytorialne,
Od dawna przeze mnie zajęte!
— A ja z armaty walnę
I pójdziesz na dno z okrętem!
— Walniesz?
— Walnę!
— No, to wal!
Tak się rozpoczął korsarski bal.
Mieli z patyków miecze
I czarne przepaski na oku,
A ja, przestraszony człowieczek,
Obserwowałem to z boku.
I jestem,
Całkiem przypadkiem,
(Nie licząc pewnej rybitwy)
Jednym jedynym świadkiem
Tej wielkiej morskiej bitwy.

Ludwik Jerzy Kern
Rys. Jerzy Flisak

Ciąg dalszy ze str. 4

KALORYCZNE BUCIKI

opłynąć świat dookoła po raz drugi.

— Co masz do powiedzenia? — ostro zapytał Dima.

Żeńka długo myślał i oznajmił całkiem przybitym głosem:

— Dziękuję — i zamilkł.

— Za co?

— Dziękuję za uwagę... to jest za zaufanie.

— Nie ma rady — stwierdził Dima. — To wszystko nazywa się „próbą flagi". Wiesz oczywiście, że morskie flagi szyte są ze specjalnie wytrzymałego materiału... Więc w interesie całej ludzkości... Rozumiesz?

— Oczywiście, rozumiem — powiedział Żeńka.

Spławiki spokojnie leżały na wodzie. Żeńka siedział i myślał, co zrobić, żeby ryba w ogóle nie brała. Jeżeli już Dima złowi parę płotek — niech je zje. Niech u Dimy ryba bierze. A u niego nie.

Nagle za zakrętem rzeki, obok stojących tam willi, zatrajkotała motorowa łódź. I to tak głośno, że przegnała chyba wszystkie ryby w rzece. Żeńka bardzo się ucieszył, że nie będzie jeść surowej ryby. Ale Dima zdenerwował się do tego stopnia, że zgrzytając ze złości zębami zaczął zwijać wędki.

Żeńka pomyślał, że widocznie dzisiaj już nie będą przygotowywać się do podróży, po prostu poleżą na brzegu, będą się kąpać i opalać. Ale gdzie tam! Zwinąwszy wędki, Dima wyrzekł zagadkowe słowa:

— No, cóż, skoro nie mamy pod ręką surowej ryby, będziemy trenować na czym innym.

Mówiąc to zwrócił oczy na nowe buciki Żeńki. Te buciki Żeńka dostał wczoraj od taty. Tata wiedział: Żeńka od dawna marzył o sportowych bucikach z uchami, z białym wierzchem i na grubej skórzanej podeszwie. I takie właśnie synowi podarował.

— Surowa ryba, co tam ryba! — powiedział Dima patrząc na buty Żeńki. — Najważniejsze to umieć jeść skórzane żagle. Według metody Włocha Pigafettiego.

Dima patrzył na Żeńkę, jak pogromca patrzy na zwierzę, kiedy ono nie chce na przykład skakać przez płonącą obręcz. A Żeńka patrzył na Dimę jak na pogromcę.

Nie! Nie! Coś trzeba zrobić... Jakimkolwiek sposobem trzeba ratować natychmiast życie nowych sportowych bucików! Trzeba szybko odwrócić myśli Dimy w jakąś inną stronę. Może zaproponować zjedzenie czegoś zupełnie innego... na przykład niedużego krzaka bzu z korą, z liśćmi, a nawet z korzeniami?

Tak, ale czy Dimę skusi zwykła kora, jeżeli zdecydował się na skórzane buty? No, dobra — myślał Żeńka, jeżeli trzeba jeść buciki, to dlaczego moje? Dlaczego nie Dimy? Wspaniała myśl!

— Dobrze! — powiedział. — Jedzmy buty! Ale zacznijmy od twoich.

— Proszę bardzo — powiedział Dima. — Tylko gdzie czytałeś, żeby umierający z głodu podróżnicy jedli gumowe półbuty?

I dla ilustracji wyciągnął z piasku swoje nogi w starych, gumowych, zupełnie niejadalnych trampkach. Co za pech! Przecież i Żeńka ma takie. Po co, głupi, w taki upał włożył twarde, niewygodne buty? Elegant nieszczęsny!

— Szmaty i guma — wyjaśnił Dima. — Żadnych witamin i kalorii. A ty masz buty bardzo kaloryczne. Można powiedzieć: pożywne! Dwa tygodnie życia zapewnią!

Żeńka nie od razu się poddał. Próbował jeszcze uratować parę swoich kalorycznych bucików.

— Dobrze, Dima — powiedział. — Jeżeli dla treningu musimy koniecznie zjeść buciki, to zgoda. Ale myślę, że lepiej zaczynać od czegoś innego...

— A od czego? — zapytał ochryple Dima.

— Od półbucików — odpowiedział Żeńka też ochrypłym głosem. — Mam stare półbuciki — zaraz je przyniosę, zjemy je i...

— E, coś ty! — zawołał Dima. — Półbucikami nie najemy się. Może nawet twoich bucików będzie za mało!

— Dobrze. Jeżeli będzie za mało, to przyniosę stare buty ojca i najemy się po uszy...

— Aleś wymyślił! — Jak można porównać stare buty z nowymi bucikami. Czyżbyś nie rozumiał, że w starych butach jest o wiele mniej kalorii i witamin?

— Dobrze! — zgodził się jeszcze raz Żeńka. — Dobrze! Zjemy moje nowe buciki, ale nie dzisiaj.

— Dlaczego nie dzisiaj?

— Dlatego, że niedawno jedliśmy śniadanie. Jakim sposobem z pełnym żołądkiem mam zjeść skórzane buty? Absolutnie brak mi apetytu.

— Co więc proponujesz? — zapytał Dima.

— Zjemy moje buty, ale na czczo.

— Patrzcie go, jaki sprytny! — powiedział Dima. — Na czczo takie buty może zjeść byle kto, a z pełnym żołądkiem tylko prawdziwy podróżnik.

— Wobec tego... — zaczął Żeńka, ale Dima już nie słuchał żadnych jego wykrętów.

— Ma się rozumieć! — rzucił — są tacy skąpcy podróżnicy, którym łatwiej wymyślić milion wymówek, a nawet umrzeć z głodu niż zjeść swoje skórzane buty... dla dobra całej ludzkości!

Z tymi słowami Dima runął na piasek i zaczął się tak zachowywać,

Ciąg dalszy na str. 14

KRÓL JAMNIKÓW

Martwił się król jamników,
martwił się, biedak, głęboko —
dlaczego do innych królów
mówi się: „Wasza Wysokość”?

Aż wreszcie tupnął nogą
i kazał swoim sługom,
żeby do niego odtąd
mówili: „Wasza Długość!”

Wanda Chotomska

MÓJ PIES

Chciałbym mieć psa,
wilka lub foksteriera.
Każdego dnia
chodziłbym na spacery.

Uczyłbym go
służyć, leżeć przy nodze,
czuwać co noc
i bawić się ze mną co dzień.

A on swój łeb
wznosiłby bez przerwy ku mnie,
by każdy gest
i każde słowo zrozumieć.

Łasiłby się,
tuliłby pysk do mej twarzy,
mój piękny pies,
o którym ciągle marzę.

Józef Ratajczak

ZIMOWY SPACER

Biały jest las,
mój pies jest biały,
księżyc wygląda jak mleczna lampa.
Droga milczy zaspana,
wędruje gdzieś w nieznane.
Śnieg chyłkiem zasypuje ślady.
Już pochłonął krajobraz.
Jest nierealnie jak we śnie.
Powiedz mi, psie:
jesteśmy tutaj
czy ja śnię?

Ewa Zawistowska
Rys. Zdzisław Byczek

MENAŻKA

Niedawno w naszej szkole otwarto Izbę Pamięci. Odbyła się wielka uroczystość, na którą przybyli liczni goście.

Gdy skończyła się akademia, uroczyście otwarto szkolne muzeum. Namęczyliśmy się porządnie, ale teraz mogliśmy pokazać z dumą ciekawe eksponaty umieszczone w gablotach albo na ścianach Izby Pamięci. Zdobywaliśmy je od różnych osób, nikt nam nie odmówił, bo wiedział, że chodzi o utrwalenie przeszłości... Tak ładnie powiedział pan dyrektor w czasie uroczystości.

Byliśmy dumni z tajnych gazetek, plakatów, legitymacji wojskowych, hełmu, odznaczeń i innych eksponatów.

W najbliższą niedzielę pojechałem z rodzicami do dziadka, który mieszkał na wsi.

— Co słychać? — zapytał nas, gdy usiedliśmy przy stole.

Babcia wniosła ogromny tort, ale ja myślałem o czym innym.

— Masz kłopoty, Tadziu? — zapytał dziadek.

Uśmiechnąłem się.

— Tak jakby...

— Co to znaczy?

Wtedy opowiedziałem mu o naszej Izbie Pamięci i o tym, że trochę mi przykro, że nie mogłem ofiarować niczego do szkolnego muzeum.

— Rozumiem...

Potem wstał z krzesła, zniknął na chwilę i powrócił z wysłużoną menażką. Była porysowana, z resztkami zielonej farby, i miała widoczny, zalutowany otwór.

Popatrzyliśmy na dziadka ze zdziwieniem.

Spoglądał na blaszane naczynie trzymane w rękach, myślał o czymś.

Potem powiedział:

— To moja pamiątka z czasów wojny. Byłem żołnierzem, a ta menażka towarzyszyła mi wszędzie — od Lenino do Berlina. Przebyła setki kilometrów, brała udział w bitwach, zwiadach, wartach.

— A skąd się wziął ten zalutowany otwór? — zaciekawiłem się.

— Od kuli... Ten pocisk był przeznaczony dla mnie, ale trafił w menażkę. Znajdowaliśmy się akurat w okopie, gdy przywieziono obiad, mój ulubiony żurek...

Dziadek uśmiechnął się i mówił dalej:

— Zaledwie zacząłem jeść, zadzwonił polowy telefon. Schyliłem się po słuchawkę i w tym momencie huknął strzał, a na dno okopu stoczyła się dziurawa menażka... Nie miałem czasu na rozmyślania, bo usłyszałem głos dowódcy: „Co się u was dzieje? Dlaczego nie odpowiadacie?" Więc zameldowałem pośpiesznie: „Wszystko w porządku, obywatelu kapitanie! Tylko nieprzyjaciel zniszczył mi zupę i menażkę..." „Co to za żarty?" — zagrzmiał mój przełożony, ale po wysłuchaniu mojego wyjaśnienia ucieszył się, że zatelefonował do mnie w samą porę, ratując mi w ten sposób życie...

Dziadek milczał przez chwilę.

— Po tym zdarzeniu nie wymieniłem menażki na nową, ale przy okazji zalutowałem otwór po kuli i jadłem z niej jeszcze wiele, wiele żołnierskich obiadów. Tylko już jakoś nigdy do końca wojny nie doczekałem się swojego ulubionego żurku...

Dziadek podał mi menażkę.

— Weź ją, Tadziu! To dla waszej Izby Pamięci.

Często odwiedzam szkolną Izbę Pamięci. I nie dziwcie się wcale, że najchętniej przystaję przed podarunkiem dziadka...

Ryszard Przymus

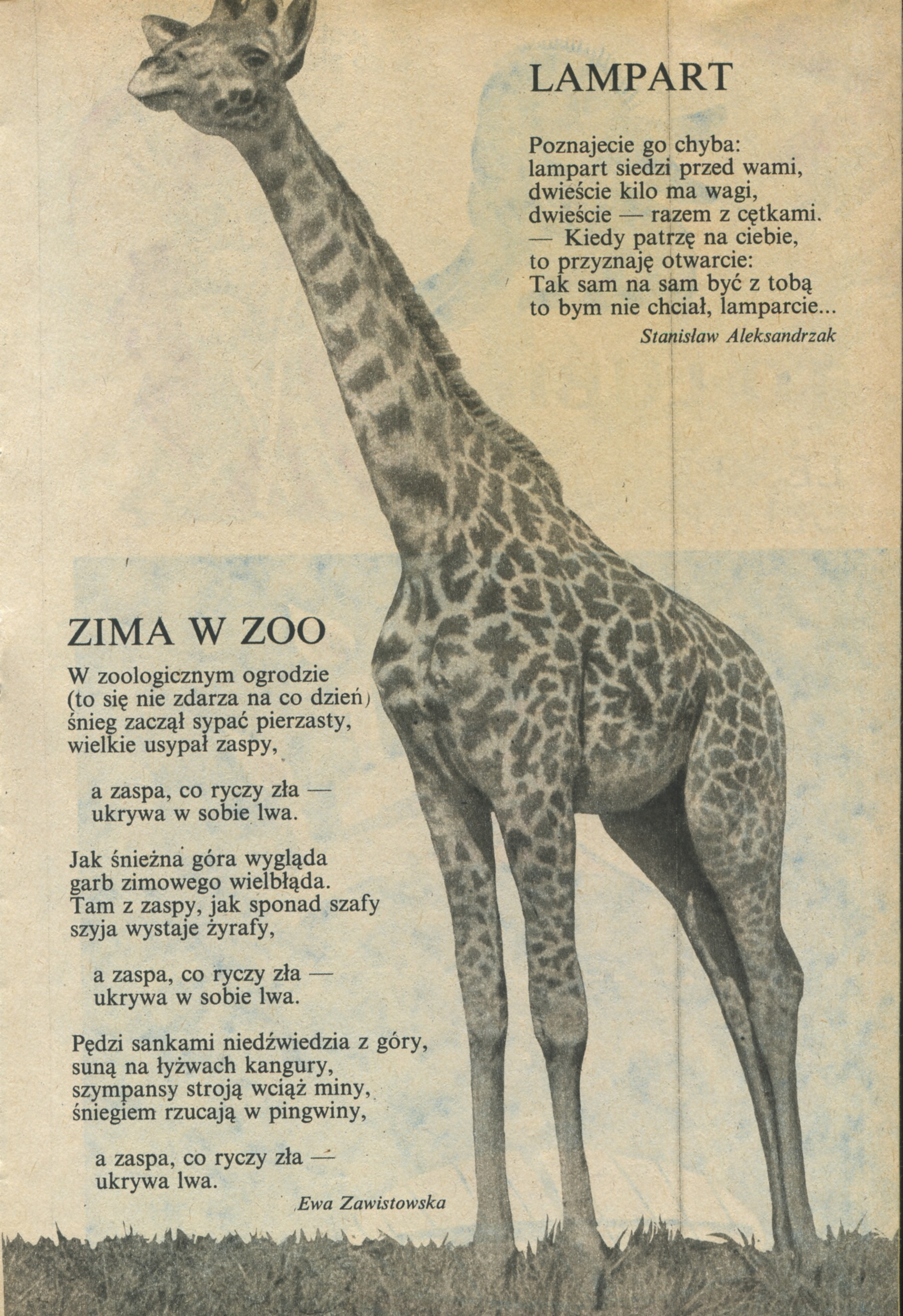

LAMPART

Poznajecie go chyba:
lampart siedzi przed wami,
dwieście kilo ma wagi,
dwieście — razem z cętkami.
— Kiedy patrzę na ciebie,
to przyznaję otwarcie:
Tak sam na sam być z tobą
to bym nie chciał, lamparcie...

Stanisław Aleksandrzak

ZIMA W ZOO

W zoologicznym ogrodzie
(to się nie zdarza na co dzień)
śnieg zaczął sypać pierzasty,
wielkie usypał zaspy,

a zaspa, co ryczy zła —
ukrywa w sobie lwa.

Jak śnieżna góra wygląda
garb zimowego wielbłąda.
Tam z zaspy, jak sponad szafy
szyja wystaje żyrafy,

a zaspa, co ryczy zła —
ukrywa w sobie lwa.

Pędzi sankami niedźwiedzia z góry,
suną na łyżwach kangury,
szympansy stroją wciąż miny,
śniegiem rzucają w pingwiny,

a zaspa, co ryczy zła —
ukrywa lwa.

Ewa Zawistowska

sama często nie wiem,
co jest dobrem,
a co złem

TO LUBIĘ

LESZEK
OŁDAK

Wróżby

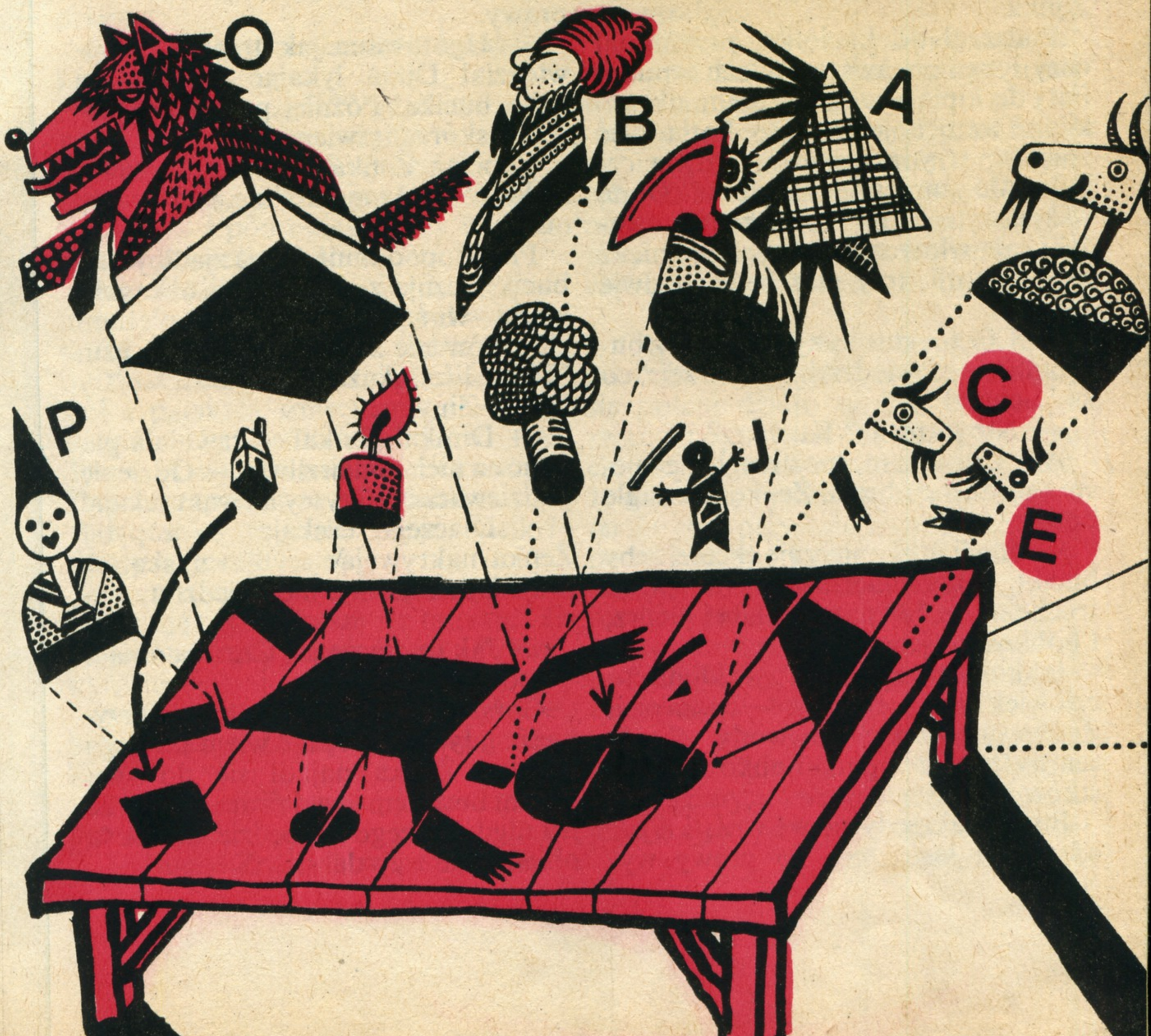

Ciąg dalszy ze str. 7

jakby umierał z głodu na oczach Żeńki. A Żeńka? Czyż mógł znieść, aby uważano go za skąpca — podróżnika? Nie, do tego nie mógł dopuścić... Już lepiej poświęcić buciki, byleby przekonać Dimę, że on, Żeńka, jest gotów do prawdziwie bohaterskich czynów. Więc bez słowa ściągnął z nóg buciki i w rzece zaczął z nich zmywać kurz.

— Surowe będziemy jeść czy gotowane? — zapytał.

— Skoro jest ogień, mogą być gotowane — powiedział Dima po chwili namysłu.

Dima to jednak przyzwoity i dobry człowiek. Inny na jego miejscu mógłby kazać jeść na surowo — pomyślał Żeńka.

Podszedł do kociołka, przymknął oczy i wstrzymawszy oddech wpuścił buty do kipiącej wody. Potem, ukradkiem, wrzucił jeszcze do kotła pięć kartofli, trzy marchewki i dwie cebule. Ale „umierający z głodu" Dima wszystko to jakimś sposobem zauważył i całą włoszczyznę kazał wyrzucić: pięć kartofli, trzy marchewki i dwie cebule.

— Cóż to, gotujesz jakiś rosół z bucikami? — powiedział. — Patrzcie, co za kucharz!...

— Niby kto: ja? Kucharz?

Ale Dima sam spostrzegł, że niesprawiedliwie obraził Żeńkę, bo nagle dodał:

— Jeżeli już koniecznie chcesz, żeby buciki były smaczniejsze, to posól trochę wodę. Sól nam ocalała i pieprz, i bobkowe liście...

Jakkolwiek by było — Dima to człowiek wielkoduszny — pomyślał Żeńka wrzucając do wody z solą czarny pieprz i parę bobkowych listków.

Buciki zakręciły się we wrzątku jak wiewiórki w klatce. To prawy wypływał na wierzch, to lewy, to prawy, to lewy...

Żeńka mieszał wodę patykiem usiłując nie patrzeć na buty i cały czas myślał o tym, że mamie na pewno będzie bardzo przykro, kiedy się dowie, że zjadł swoje buty zaraz na drugi dzień. Gdyby chociaż je trochę ponosił, powiedzmy przez miesiąc albo nawet przez dwa, wtedy oczywiście mniej by się zdenerwowała.

Zamyślił się tak głęboko, że nie zauważył, kiedy się jego buty już ugotowały. Dopiero jak Dima krzyknął: „gotowe" i wyłowił widelcem ugotowany but, Żeńka oderwał się od swych smutnych myśli.

— Gotowe! — powtórzył Dima kładąc parujący bucik na talerz i odrzynając od niego skórzane ucho. Żeńce dostał się lewy but, a Dimie — prawy.

— Ugotowane jak trzeba — powiedział Dima łykając z apetytem ucho bucika. Później pokroił na kawałki skórzany wierzch...

Chociaż Żeńka również „umierał z głodu", własne buty nie smakowały mu.

Prawdopodobnie Dima zjadłby cały bucik łącznie z podeszwą i obcasem, gdyby w środku uczty za plecami chłopców nie zatrzeszczał krzak bzu. Wśród liści ukazała się głowa siostry Dimy, Ziny.

— Dimka! Żeńka! — zawołała patrząc na nich podejrzliwie. — Gdzie się podziewacie? Wszyscy na was czekają!

— Dlaczego czekają? — zapytał Żeńka nakrywając szybko miską, za przykładem Dimy, nie dojedzony bucik.

— Jak to dlaczego? Czas na obiad! — powiedziała Zina.

Gorszej wiadomości nie mogła przynieść, gdyby nawet nie wiem jak tego chciała. Żeńka najadł się do syta swoim bucikiem i wydawało mu się, że już nigdy niczego nie będzie jadł. A tu obiad: całe trzy dania...

— Dobrze! Idź już. Zaraz przyjdziemy.

Ale Zina wysunęła się z krzaków i zapytała:

— Dlaczego „idź"? W domu powiedzieli, żebym bez was nie wracała.

Sprzeczanie się było daremne, więc podnieśli się, zalali ognisko rosołem z bucików i pod opieką Ziny mężnie pomaszerowali do domu.

Jak Żeńka połknął obiad, nie pamiętał. Za to Dima spałaszował wszystko z apetytem — dla dobra całej ludzkości. Zina często zaglądała pod stół i parskała śmiechem na widok bosych stóp Żeńki. Robiła to tak długo, aż zajrzała tam również mama Żeńki, i zapytała ze zdziwieniem.

— Żenia, a gdzie twoje buciki? Dlaczego jesteś boso?

— Ą... ą... ą... — wystękał Żeńka, rozcierając łyżką kaszę na talerzu.

— Dlaczego jesteś boso? Pytam wyraźnie!

— On dlatego jest bez butów, bo te buty zjedli z Dimą — powiedziała Zina.

— Co zjedli? — zapytała mama pobladłszy.

— Buciki Żeńki — wyjaśniła Zina.

— Jak to zjedli? — wyszeptała mama wstając.

— Zwyczajnie! — powiedziała Zina. — I nawet z dużym apetytem, widziałam na własne oczy.

Tata, milczący do tej pory, też nagle pobladł, spojrzał pod stół, przyłożył rękę do serca i zaczął się powoli podnosić z krzesła. Mama na odwrót: przyłożywszy obie ręce do serca, zaczęła powoli opuszczać się na krzesło.

*

O tym, jak rodzice pobiegli na brzeg i wrócili z nie dojedzonymi butami, co się potem działo w domu, jak wezwano pogotowie, jak czuli się obaj chłopcy — opowiadać za długo. Dość, że znosili wszystko mężnie i po bohatersku, jak przystało na prawdziwych podróżników. Tylko raz stracili głowę. Było to wtedy, kiedy lekarz z pogotowia polecił płukanie żołądków. Dima krzyczał, że nigdzie nie czytał, żeby podróżnikowi, który zjadł własne buty, robiono płukanie żołądka.

— Po pierwsze — powiedział tata trzymając Dimę za nogi — zjadłeś nie własne buty, a buty ciotecznego brata, a po drugie, gdzieś ty czytał o podróż-

Ciąg dalszy na str. 18

SPOTKANIE ZE ŚWIERKIEM

— Powiedz, świerku,
nie ukrywaj przed nami,
co ty szyjesz tymi
świerkowymi igłami?

— Stańże tu, przed szałasem,
popatrz w niebo wysokie...
Zszywam to, co poszarpał halny,
obłok z obłokiem.

Tadeusz Kubiak

HALNY

Halny wicher,
jak rozbójnik,
w Tatrach się panoszy.

Pochowały się zwierzęta.
Kot przymrużył oczy.

Wicher górski
dzisiaj hula.
Z drogi zejść mu trzeba.

Trzeszczy chata Sabałowa.
W pas chylą się drzewa.

Góry tańczą zbójnickiego,
tak jak halny śpiewa.

Magdalena Ficowska Łuszczek

LAWINA

Lawina wszystko
porywa po drodze,
więc ostrożnie
po górach chodzę.

Anna Kajtochowa
Rys. Zdzisław Witwicki

Ciąg dalszy ze str. 15

KALORYCZNE BUCIKI

niku, który zaczynał trening i przygotowania do podróży od zjedzenia butów?

Potem napojono chłopców jakimiś lekarstwami, położono do łóżka pod strażą taty i mamy i zmuszono do spania.

Kiedy następnego rana Żeńka się obudził, Dimy już nie było. Odwieziono go jeszcze wieczorem do domu. Pod poduszką Żeńka znalazł kartkę:

„Wszystko w porządku — pisał Dima. — Przygotowania do podróży trwają! Czekaj na znak!"

Żeńka znowu zasnął. Kiedy obudził się następnego dnia przed południem, do pokoju wszedł tata. Trzymał w ręku kartonowe pudełko. Podszedł do łóżka i wyjął z pudła nowe buciki. Nie były wcale sportowe, nie miały żadnych uszek. Wierzchy — zrobione z płótna, zelówki i obcasy — gumowe.

— Spodziewam się... — powiedział tata — spodziewam się — powtórzył — że dalsze wasze przygotowania do bohaterskich podróży będą miały nieco inny charakter...

Żeńka popatrzył na buciki z gumowymi podeszwami i bez słowa odwrócił się do ściany.

Walerij Miedwiediew
Z rosyjskiego tłumaczyła Hanna Ożogowska
Rys. Bohdan Butenko

DBAMY O ZDROWIE

Ćwiczeń w łazience ciąg dalszy

Przekonaliście się już zapewne, jak cennym przyrządem gimnastycznym jest zwykły ręcznik. Przedstawione poprzednio ćwiczenia nie wyczerpują wcale możliwości ćwiczeń z ręcznikiem. Dziś przedstawię ich kolejną porcję.

1. Ręcznik chwytamy za końce, ręce zgięte w łokciach unosimy na wysokość barków i tyłem głowy opieramy się o napięty ręcznik. Stoimy w lekkim rozkroku i przez 3 sekundy ręcznikiem usiłujemy przesuwać głowę do przodu, a jednocześnie głowa przeciwstawia się temu ruchowi. Liczymy czas wymawiając liczby 121, 122, 123. Zwalniamy napięcie, opuszczamy ręce i po chwili powtarzamy to ćwiczenie 3 razy.

2. Jak w poprzednim ćwiczeniu, chwytamy rękami za końce ręcznika, ale ręcznik układamy z tyłu szyi, i teraz szyja przeciwstawia się naporowi ręcznika przez 3 sekundy (121, 122, 123). Powtarzamy ćwiczenie 3 razy.

3. Ręcznik trzymamy za końce i opuszczamy ręce, aby oparł się o nasze barki. Znowu napinamy mięśnie i przeciwdziałamy naporowi ręcznika. Napinamy przy tym mięśnie brzucha, silnie wciągając brzuch. Powtarzamy ćwiczenie 3 razy, pamiętając, aby okres napięcia nie był krótszy niż 3 sekundy (121, 122, 123).

4. Ręcznik opuszczamy na wysokość lędźwi (część pleców powyżej krzyża), znowu napinamy ręcznik i siłą mięśni pleców przeciwdziałamy naporowi ręcznika. Silnie wciągamy brzuch. Czas napięcia nie powinien być krótszy niż 3 sekundy. Powtarzamy 3 razy.

5. Ręcznik trzymany za końce opuszczamy na wysokość pośladków i silnie przeciwstawiamy się naporowi napiętego ręcznika. Powtarzamy to ćwiczenie także 3 razy.

Wszystkie opisane wyżej ćwiczenia można urozmaicać, łącząc z ćwiczeniami oddechowymi i podnoszeniem się w czasie ich wykonywania na palcach stóp.

dr Leszek Marek Krześniak

Rys. Anna Kołakowska

3
PORWANIE

Dochodziła siódma. Pomagałem cioci przygotować kolację. Uwijałem się jak w ukropie, bo chciałem jak najprędzej znaleźć się na poddaszu. Mógłbym co prawda powiedzieć, że nie jestem głodny, ale nie mogłem dopuścić, żeby ciocia przyniosła jedzenie do mojego pokoju. Zrobiłaby tak na pewno, ponieważ uważała, że u młodych ludzi odżywianie się i nauka to dwie najważniejsze sprawy. Widocznie za bardzo się spieszyłem, bo wujek przyglądając mi się badawczo, zapytał:

— Co ty jesteś taki rozgorączkowany? Dziwnie jakoś wyglądasz.

Ciocia odłożyła nóż i powiedziała z niepokojem:

— Rzeczywiście. Jakbyś był podpuchnięty...

— E tam, ciociu, drobiazg, pszczoła mnie użądliła — starałem się zbagatelizować całą sprawę.

— To ci nie zaszkodzi, a nawet dobrze zrobi. Nie będziesz miał reumatyzmu. Jednak na wszelki wypadek zaparzę ci herbatę z szałwii i zaniosę na górę.

Przestraszyłem się nie na żarty.

— Niech się ciocia nie fatyguje. Wypiję ją tutaj, zaczekam, aż się zaparzy.

Nie znosiłem szałwii, jak chyba każdy człowiek na świecie, ale nie mogłem dopuścić, aby ktokolwiek wchodził do mojego pokoju. Wypiłem tę piekielną herbatę starając się robić minę, jakbym jadł przynajmniej lody.

— Widzę, że ci smakuje. To dobrze. Szałwia jest bardzo zdrowa — odezwała się ciocia.

— Uwielbiam szałwię.

— Ach, to świetnie — ucieszyła się. — Co wieczór będę ci robić taką herbatę.

Jęknąłem w duszy, ale trudno. Wielkie sprawy wymagają poświęceń. Uśmiechnąłem się nawet przymilnie. Pokręciłem się jeszcze chwilę po kuchni, wsunąłem ukradkiem dwie kanapki do kieszeni i pobiegłem na poddasze. Zielony powąchał je nieufnie i ugryzł kawałek. Ledwo przełknął pierwszy kęs, zaczął czkać.

— Nie mogę — skrzywił się, jakby pił szałwiową herbatę — to nie bardzo przechodzi mi przez gardło.

— A co byś mógł zjeść?

— Czy ja wiem? Nie potrafię powiedzieć.

Usłyszeliśmy, że ktoś wchodzi po schodach. Zielony błyskawicznie dał nura pod łóżko. Po chwili weszła ciocia Zosia z filiżanką.

— Przyniosłam ci jeszcze jedną herbatkę z szałwii — powiedziała. — Skoro tak lubisz, to napij się jeszcze.

Teraz ja dostałem czkawki, ale wmusiłem w siebie jakoś to obrzydlistwo. Zdobyłem się nawet na to, by powiedzieć:

— Naprawdę, wspaniała jest ta szałwia. Dziękuję cioci.

— Może jeszcze przynieść? — zapytała zachęcona moją pochwałą.

— Ależ nie fatyguj się już. Za dużo by było tego dobrego.

Ciocia w dobroci serca przyniosła jeszcze jedną. Przekonałem ją, żeby zostawiła filiżankę, to wypiję przez noc. Uff! Kiedy wreszcie zamknęła za sobą drzwi, odetchnąłem z ulgą. Zielony wyszedł spod łóżka i pociągnął nosem.

— Ach, co za zapach, sziukumuku. Mogę? — zapytał.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, wypił duszkiem całą filiżankę herbaty z szałwii.

— To lubię — oblizał się.

— Kochany, z nieba mi spadłeś. Chętnie odstąpię ci każdą ilość tego paskudztwa. Jutro w nocy, gdy wszyscy zasną, pójdziemy do spiżarki i pokażesz, co dla ciebie jest jadalne.

Ściemniło się. Nie zapalaliśmy światła. Zielony w mroku wyglądał trochę niesamowicie, ale zdążyłem się już do niego przyzwyczaić. Ziemskiego chłopaka nazwałbym ślamazarą, ale tu wchodziły w grę dodatkowe okoliczności. „Taka ucieczka to jest coś — myślałem. — Ostatecznie znaleźć się na obcej planecie, być ściganym i jeszcze wykazywać zuchwałość, to byłaby przesada. Ja sam na różnych uroczystościach rodzinnych, wystrojony i nagabywany o jakieś niepoważne rzeczy, czuję się nieswojo. A co dopiero on. Może się rozrusza?..."

— Oni tutaj wkrótce będą — przerwał moje rozmyślania.

— Nie znajdą ciebie ani twojego kolczyka — zachichotałem z uciechy — możemy spać spokojnie.

— Oni wkrótce się zjawią, będę czuwał.

Powiedział to takim głosem, że ciarki przeszły mi po plecach. Dobrze się złożyło, że okno mojego pokoju wychodziło na pasiekę. Mogłem więc mieć na oku naszą skrytkę. Długo siedzieliśmy na łóżku rozmawiając szeptem. Mogła już być pierwsza w nocy, gdy Zielony zerwał się nagle i wśliznął pod łóżko. Odruchowo popatrzyłem w niebo, niczego jednak nie zauważyłem. Nie wiedziałem, co go tak przestraszyło. Po upływie kilku minut zorientowałem się, że jedna z gwiazd świeci coraz jaśniejszym pomarańczowym blaskiem. „To oni" — pomyślałem. Stanąłem za firanką tak, abym mógł jak najwięcej widzieć, będąc sam niezauważony. Gwiazda pęczniała w oczach. Wreszcie przybrała kształt talerza, a raczej dwóch talerzy złożonych razem denkami na zewnątrz. Pomarańczowa poświata wydobywała się od spodu, ale nie były to reflektory. Odnosiło się wrażenie, że dno każdego talerza wykonane jest ze światła. Latający obiekt zniżył się nad pasieką. Przez chwilę trwał nieruchomo. Wreszcie wysunęło się z niego kilka cienkich jak szpagat linek, które zwinnie omotały ul. Rozległo się niskie buczenie i zobaczyłem, jak caluteńki ul unosi się w górę i znika we wnętrzu latającego obiektu. Po chwili talerz wzniósł się i zniknął wśród gwiazd. Minęło sporo czasu, zanim otrząsnąłem się z wrażenia.

— Zielony, udało się! — prawie krzyknąłem.

Zielony wyszedł spod łóżka i ostrożnie wyjrzał przez okno.

— A co oni zabrali? — zapytał cicho.

— Ul. Wyobrażam sobie, jak będzie wyglądał profesor Put, gdy zajrzy do środka — rozkoszowałem się. — Nie wiem tylko, jak to się stało, że ten twój wszechwiedzący profesor nie może odróżnić człowieka od ula.

— Profesor odróżnia, ale tu przyleciały roboty. Odnalazły mój identyfikator i zabrały razem z ulem — wyjaśnił Zielony.

— Wszystko jedno. Najważniejsze, że nic ci nie grozi.

Położyliśmy się spać. Zielony spał pod łóżkiem owinięty w koc. W nocy miałem niespokojne sny. Śnił mi się profesor Put. Cały opuchnięty od ukąszeń pszczół gonił mnie usiłując złapać na lasso cienkie jak szpagat.

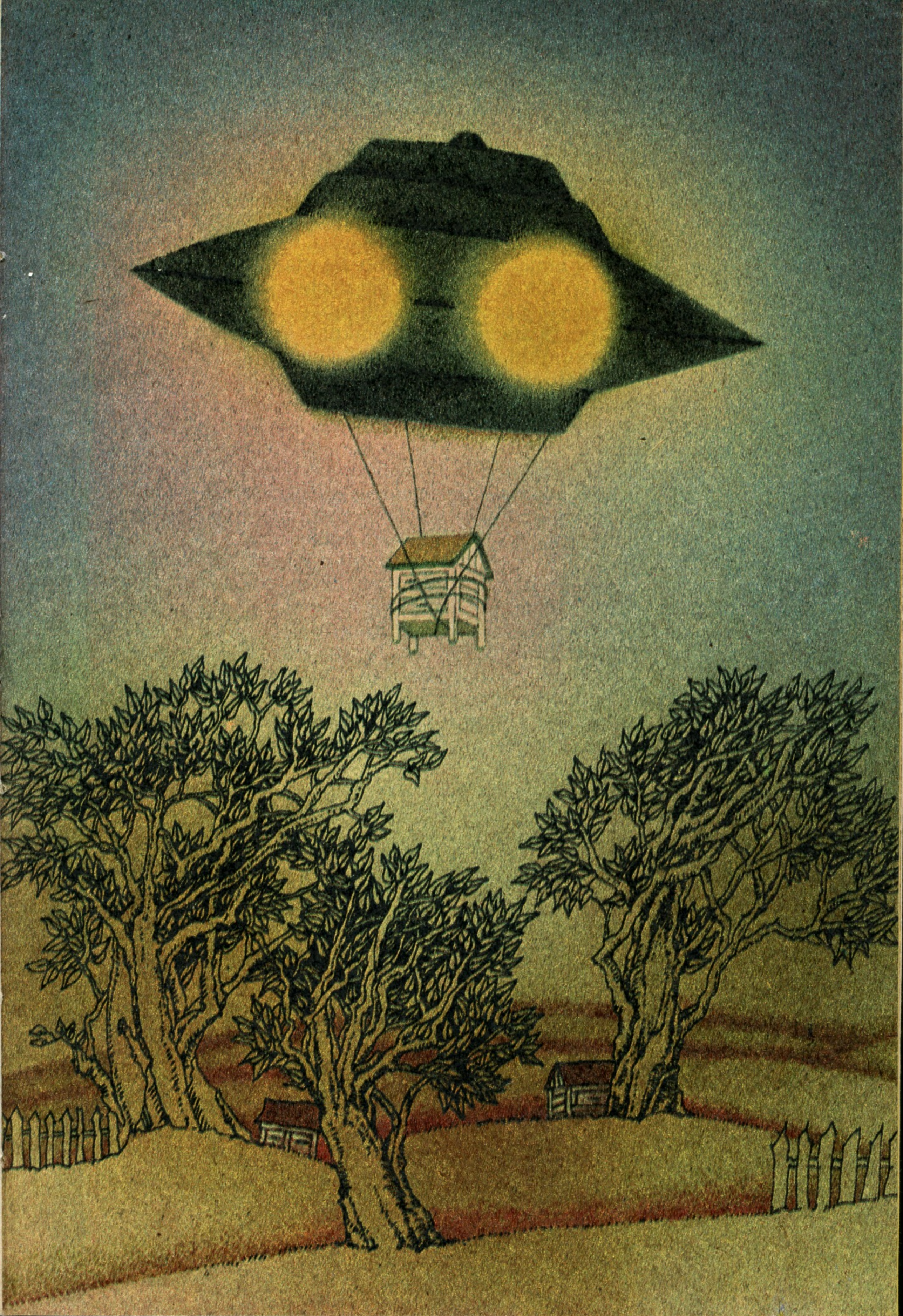

Baśka

Obudziłem się z ciężką głową. Za oknem było słonecznie jak wczoraj. Zielony spał spokojnie pod łóżkiem lekko posapując. Leżąc zastanawiałem się, jak zareaguje profesor Put, gdy zobaczy ul. Wyobrażałem sobie jak biega po statku kosmicznym, a rój pszczół za nim. Ogarnęła mnie wesołość, chociaż to wszystko nie było takie zabawne. Z całą pewnością profesor nie zaprzestanie poszukiwań, a ja nie miałem żadnego pomysłu, co robić dalej. Ból głowy powoli ustąpił. Ubrałem się i zszedłem na dół. Ciocia Zosia stała przy kuchni, a na stole czekało na mnie śniadanie.

— Och, nareszcie jesteś. Już miałam iść cię budzić. Zdrowy masz sen, nie ma co... Już dochodzi południe. Nudzi ci się, prawda?

— Nie, ciociu...

Nie miałem ochoty na rozmowę. Myślami byłem przy Zielonym. Przecież w końcu wyda się, że tu jest. I co ja wtedy zrobię? Zabrałem się do jedzenia.

— Na pewno ci się nudzi — ciągnęła ciocia. — Nie masz się tu z kim bawić. Młodość ciągnie do młodości, więc przydałoby ci się jakieś towarzystwo.

— O tak, byłoby weselej — powiedziałem, ale głowę miałem zajętą czym innym.

— A więc będziesz miał towarzystwo. Dzisiaj przyjeżdża Basia z Leska, córka mojej przyjaciółki ze szkoły. Jest w twoim wieku. Bardzo mądra i roztropna dziewczyna. Chce zostać w przyszłości fizykiem. Może się od niej czegoś nauczysz...

Tu przerwała swój monolog. Widocznie uznała za stosowne nie przypominać mi o moich niepowodzeniach w szkole.

Zanim uświadomiłem sobie, jak skomplikuje się sytuacja, kiedy zjawi się tutaj dziewczyna, usłyszeliśmy wołanie. Ciocia wyjrzała przez okno i wybiegła na podwórze. Domyśliłem się, że wujek zauważył zniknięcie ula.

Pobiegłem za nią. Wujek stał pośrodku pasieki. Z wrażenia podniósł nawet siatkę osłaniającą mu twarz. Wpatrywał się w miejsce, gdzie jeszcze wczoraj stał ul. Stanęliśmy w bezpiecznej odległości.

— Co się stało? — spytałem starając się zrobić jak najbardziej niewinną minę.

— Zniknął. Po prostu zniknął razem z kołkami — odrzekł.

— Chyba ktoś ukradł — stwierdziłem.

— Pewnie, że ukradł. Tylko zastanawiam się, jak to zrobił. Wygląda na to, że podniósł go idealnie do góry, bo ziemia jest nienaruszona. Nie podoba mi się ta historia — powiedział i rozłożył bezradnie ręce.

Wyszedł z pasieki i zbliżył się do nas. Przez chwilę drapał się po głowie, wreszcie zawołał Burka. Pies przybiegł natychmiast.

— Już my tego złodzieja złapiemy. Znam w Bieszczadach każdy metr ziemi. Burek szukaj! — rozkazał.

Pies pokręcił się w miejscu, obiegł dookoła pasiekę wyraźnie zdezorientowany. Stanął wreszcie obok nas i patrzył na swojego pana merdając ogonem.

— Szukaj! — nalegał wujek.

Niewiele to jednak dało. Nie mogąc liczyć na psa, ruszył w kierunku zarośli, aby osobiście złapać złodzieja.

— Halo! Ciociu, jestem! — usłyszeliśmy wołanie od strony domu.

Odwróciłem się i zobaczyłem biegnącą w naszym kierunku dziewczynę. W tamtej chwili nie była to dla mnie Baśka, ale wielkie nieszczęście.

Dziewczyny są chyba przekleństwem mojego życia. W domu Aśka — wzór do naśladowania na każdą okazję. A tutaj zjawiła się Baśka. Na pierwszy rzut oka, też nic dobrego. Nic dobrego w moim rozumieniu — to znaczy porządna, ułożona i grzeczna. I do

tego chce zostać fizykiem — przypomniałem sobie. To mnie już zupełnie rozeźliło. Porządna, ułożona... — to zalety dobre dla cioć i nauczycieli, a nie dla normalnego chłopaka. Poza tym była chuda i piegowata. Miała dwa grube warkocze, które dziewczyńskim zwyczajem przystrojone były idiotycznymi kokardami.

Ale dość tych rozważań. Baśka zjawiła się nagle i byłem przekonany, że popsuje mi całą przygodę.

Po powitaniach i zapewnieniach cioci, że Basia jest przemiłą dziewczynką, a ja wspaniałym chłopcem (to prawda), udało mi się wymknąć na poddasze. Zielony słysząc, że idę, wyjrzał spod łóżka.

— Katastrofa, klęska, czarna rozpacz — jęknąłem siadając na podłodze.

— Co się stało? — zapytał. — Dlaczego biadolisz?

— Straszna rzecz. Dziewczyna! — wyrzuciłem z siebie i starałem się gestami określić ogrom nieszczęścia, jakie na nas spadło, bo przecież Zielony myślał innymi kategoriami niż my, mieszkańcy Ziemi.

— Dziewczyna, niedorosła płeć żeńska człowieka? — wyrecytował i popatrzył na mnie pytająco. — Straszna?

— Okropna. Chuda, piegowata i na pewno wścibska papuga — starałem się jak najbardziej uwypuklić wszystkie niewątpliwe wady Baśki.

— Co, nie dożywiona, i z piórami? — zdziwił się.

— Papuga, to tylko przenośnia literacka — odrzekłem, a potem długo tłumaczyłem mu, co to jest przenośnia. Następnie wyjaśniłem mu, jakie nieszczęścia mogą sprowadzić dziewczyny, ale nie zdążyłem dokończyć. Na schodach rozległy się czyjeś kroki. Zielony uciekł — jak zwykle — pod łóżko, a do pokoju weszła Baśka. Wołała mnie na dół na obiad.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Ewa Barańska i Wiesław Kot
Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

Gwiazdki Lilianny Zagórskiej (12 lat)

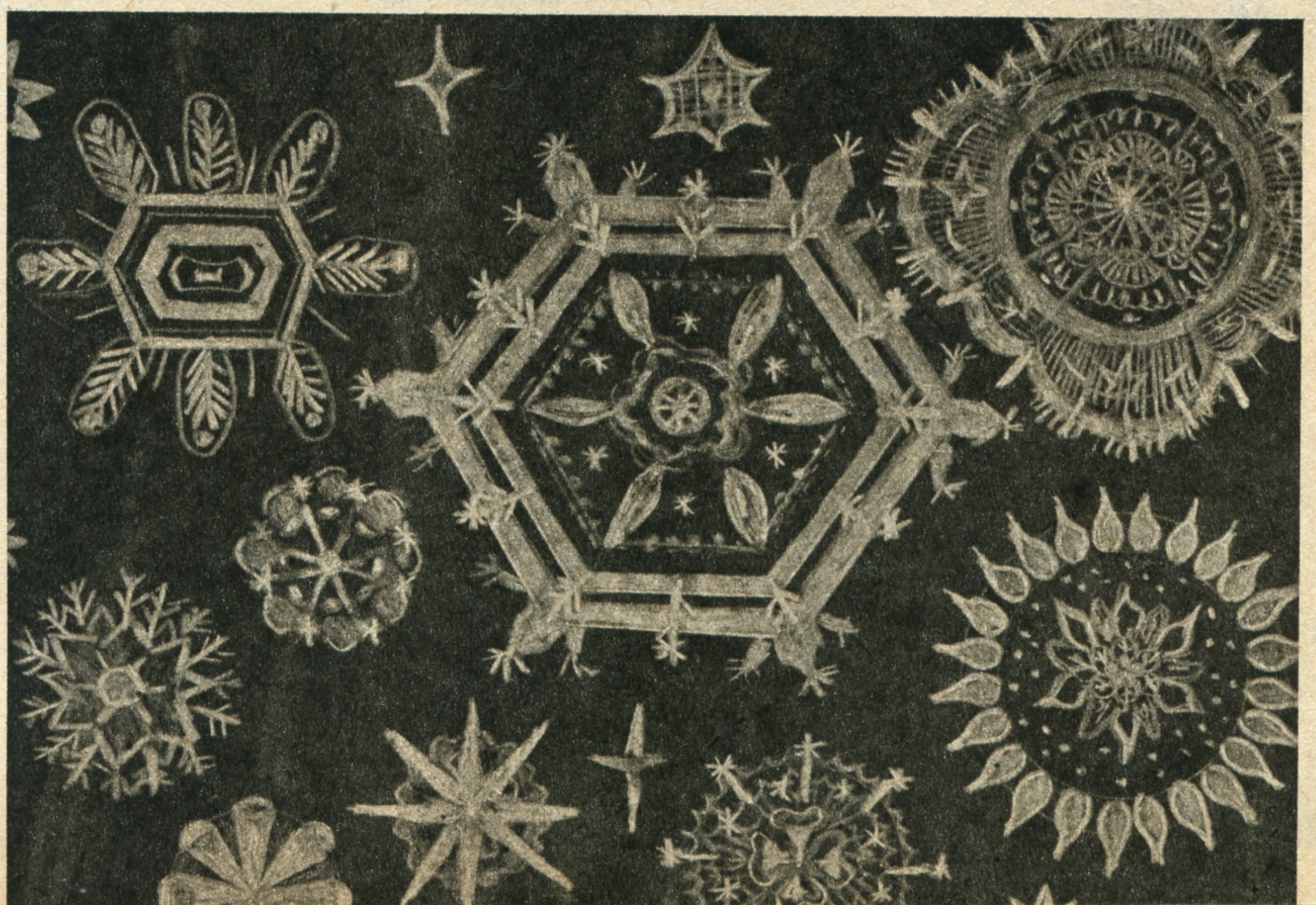

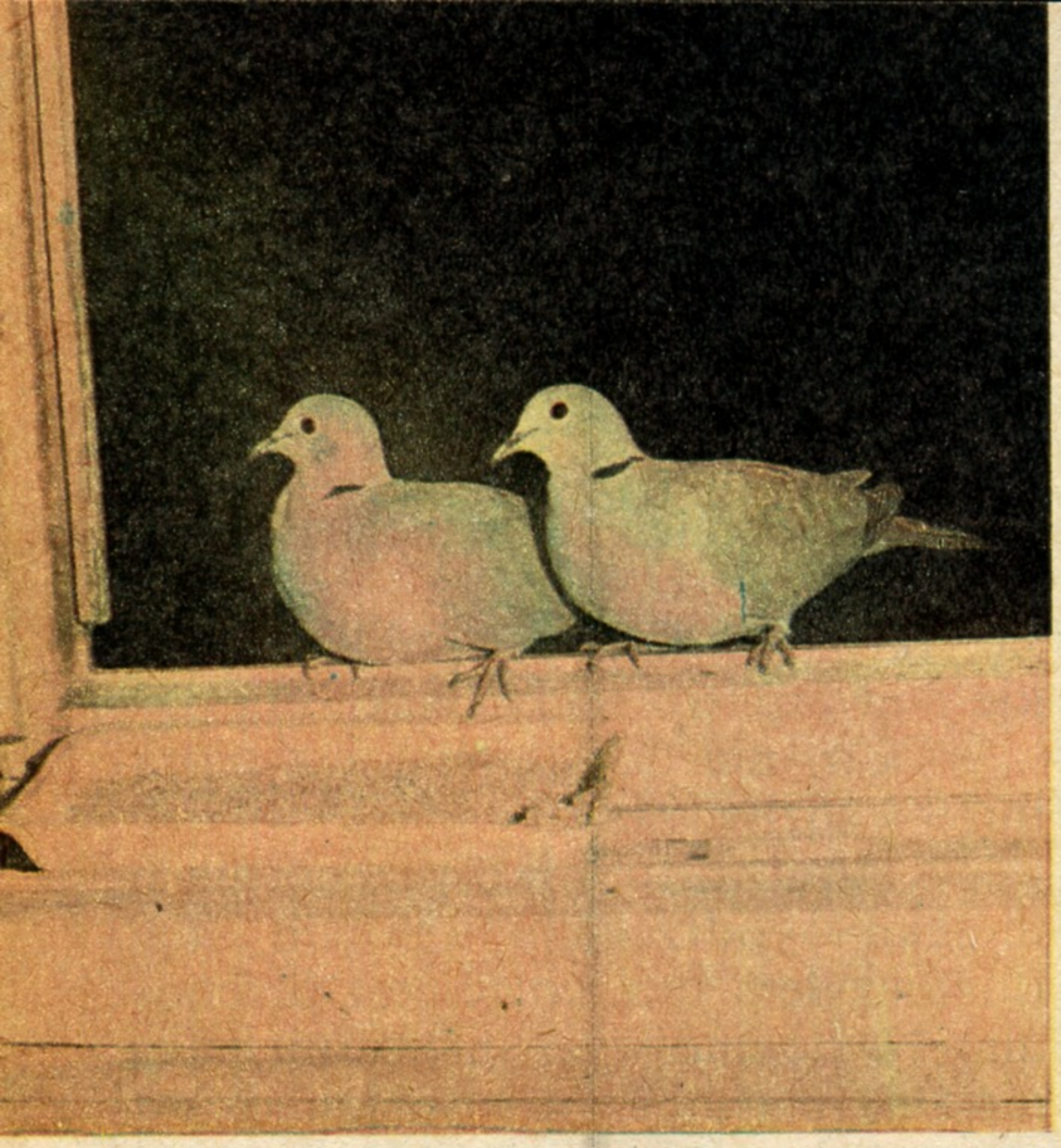

Sierpówki

Kawka
Dzierlatka

PTAKI Z MIASTECZKA

Opiszę dziś pospolite ptaki małych miasteczek wśród zabudowy parterowych i najwyżej 2—3-piętrowych domów, wśród ulic z drzewami i domków z ogródkami. Podobne okolice i ptaki znajdziemy też w dużych wsiach, na peryferiach wielkich miast i wszędzie przez cały rok.

WRONY, podobnie jak kawki i gawrony, należą do rodziny krukowatych. Są to ptaki mało liczne, zimą jest ich nieco więcej, gdyż przybywają do nas nowe, na zimowisko, z głębi Rosji. W Polsce występuje wrona siwa, dzięki czemu łatwo ją rozpoznać, podczas gdy w Niemczech jest to już ptak całkowicie czarny i przez to mylony z gawronem i krukiem. Wrony są płochliwe, lecz nieustępliwe, dzięki czemu zwykle udaje się im zrabować i pożreć jakiś łup.

Do jedzenia wysypywanego na parapety okien przychodzi jasnokawowy delikatny gołąb. To SIERPÓWKA. Nazwa pochodzi od czarnego paska obejmującego od góry pół szyi; ptak ten nazywany też jest synogarlicą turecką. Podobnie jak gołąb miejski i wróbel, sierpówka też bez ludzkiej pomocy nie mogłaby utrzymać się w polskim klimacie. Przybyła ona do nas w latach 50-tych z Bałkanów, a dotarła już do Szwecji i Anglii stając się ornitologiczną sensacją. Sierpówki podobnie jak kawki też trzymają się parami, ale w miejscach dokarmiania tworzą stadka, a nawet stada o kilkudziesięciu osobnikach.

Małe szarobrązowe ptaszki żerujące na ziemi przy sklepach, na placach i na podwórkach nazywamy powszechnie WRÓBLAMI. Nie wszystkie one jednak są właściwymi wróblami. Te, które są nieco mniejsze, a na białym policzku mają czarną plamkę, to mazurki. Wymagają one dużo zieleni, dziuplastych drzew i najliczniej gnieżdżą się poza zabudową, a więc odmiennie niż właściwe wróble. Mazurki są zapewne rodzimym gatunkiem i nie wymagają obecności człowieka, odmiennie niż wróble, które przybyły z południa wraz z rozwojem rolnictwa, a bez obecności człowieka utrzymać się przy życiu nie mogą.

Wrona

Tak jak wróble i mazurki żerują na ziemi wewnątrz miasta, tak na jego peryferiach, na placach targowych, przy dworcach i składowiskach biegają szare ptaszki wielkości dwóch wróbli, z czubkiem na głowie. To DZIERLATKI, Odzywają się one skowronko-podobnym śpiewem, tyle że nie z powietrza, a na ziemi. Ptaszków tych na raz widzimy niewiele, bo 1—2 tylko. Wiodą one zimą życie ciężkie, a pomóc im można wysypując różne ziarno i okruszyny w miejscach ich występowania.

Wnętrza kominów, różne zakamarki w murach i pod dachami, ale także dziuple wysoko w starych drzewach, do lęgów i do nocowania wykorzystują KAWKI. Są to ptaki wielkości wyrośniętego kurczaka, ciemne, łupkowo-czarne, ale z dobrze widocznym szarym rozjaśnieniem w tyle głowy i na karku. Kawki, jakby niewidocznym sznurkiem po dwie związane, drepczą szybko po placach, wysypiskach i śmietnikach. Wciąż rozmawiają ze sobą „kaw, kaw, kaw" (i dlatego noszą nazwę kawek). Na zimę część naszych, głównie młodych ptaków odleciała na zachód Europy, a za to przyleciało wielkie stado kawek z głębi Rosji. Te przemieszczają się rano i wieczorem wielkim stadem, odbywają spotkania towarzyskie z miejscowymi i w ogóle wnoszą do miasta masę ruchu i hałasu.

Tekst i fot. Wiktor Pawłowski
Wiktor Pawłowski

PŁYWAĆ JAK RYBA (1)

Jeśli mówimy o kimś, że pływa jak ryba, wyrażamy tym samym podziw dla jego umiejętności. Wypowiadając słowa pochwały robimy to machinalnie i nie zastanawiamy się, do jakiej ryby porównujemy naszego pływaka. A nie wszystkie ryby pływają równie dobrze. Pod tym względem występują między nimi znaczne różnice: jedne są prawdziwymi mistrzami w pływaniu, inne radzą sobie nieco gorzej, a jeszcze inne — słabo. Te ostatnie wcale nie są pokrzywdzone z tego powodu.

Zdolność szybkiego, wytrwałego pływania nie wszystkim jest bowiem potrzebna w równym stopniu, i zależy od tego, gdzie dany gatunek żyje i jaki prowadzi tryb życia. Ryba, która czatuje na zdobycz w ukryciu lub ma mnóstwo pokarmu wokół siebie, nie musi być tak ruchliwa jak jej krewniaczka, która w pogoni za szybką ofiarą przemierza rozległe przestrzenie morza. Trzeba też pamiętać, że warunki, jakie środowisko wodne stwarza swoim mieszkańcom, nie są jednakowe. Inaczej żyje się na skalistym, inaczej na piaszczystym dnie, wśród gęstej roślinności i między kamieniami, na głębinie i płyciźnie. Nic dziwnego, że w każdym z tych miejsc przydatne są inne właściwości.

Do najlepszych pływaków należą: marliny, rekiny, tuńczyki, makrele i śledzie. Wszystkie one są do siebie pod pewnym względem podobne: mają obłą, wrzecionowatą lub torpedowatą sylwetkę. Nie jest to dzieło przypadku, lecz wynik ewolucyjnego przystosowania się do warunków, i ma związek z pewnymi właściwościami wody. Otóż gęstość wody jest około 800 razy większa od gęstości powietrza. Dzięki temu łatwo się w niej unosić, ale też stawia ona znaczny opór podczas ruchu. (Jeśli nie wiecie, co to znaczy, spróbujcie pobawić się w berka zanurzeni po szyję. Od razu dojdziecie do wniosku, że w wodzie szybko biegać się nie da, bo hamuje ona nasze ruchy. Już lepiej popłynąć strzałką — opór od razu będzie mniejszy).

I tu dochodzimy do sedna sprawy. Obły, wrzecionowaty kształt ciała, taki jak u wymienionych uprzednio ryb, pozwala w dużej mierze zredukować opór wody i uzyskać możliwie jak największą szybkość. Tak zbudowane ryby to najczęściej wędrujący kilometrami mieszkańcy otwartych mórz i oceanów.

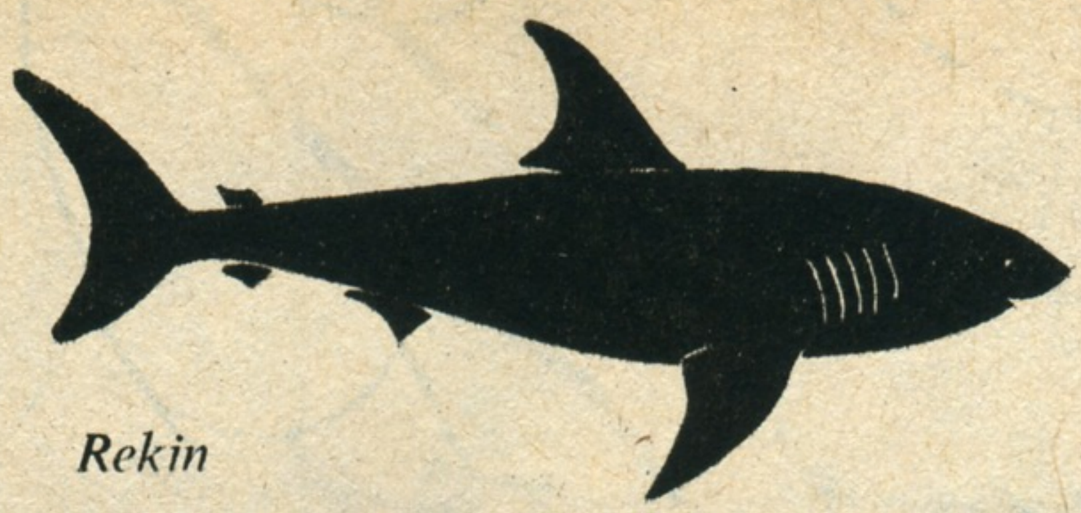

Rekin

Makrela

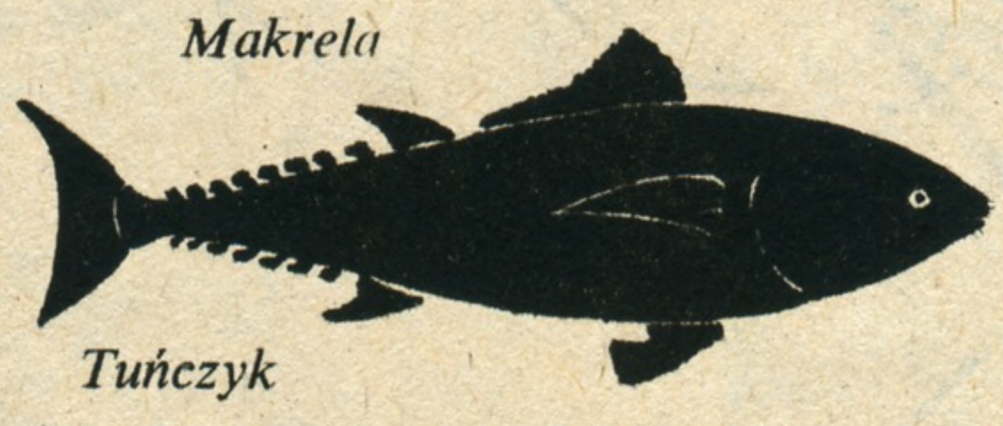

Tuńczyk

Rekiny i tuńczyki są jakby wodnymi odpowiednikami lądowych chyżych drapieżników, same bowiem polują na szybko poruszającą się zdobycz.

Co ciekawsze — również morskie ssaki — walenie (np. delfiny), wyglądają podobnie jak tamte ryby. Żyjąc w takim samym środowisku i prowadząc podobny tryb życia, przybrały w ciągu milionów lat ewolucji taki właśnie, najbardziej korzystny dla siebie kształt ciała.

A teraz o mniej ruchliwych rybach. Spójrzcie na samogłowa. Przyznacie, że nie wygląda on na specjalnie szybkie zwierzę. Istotnie, to wielkie, do 2 ton ważące rybsko jest zdecydowanie ślamazarne. Można je podobno dogonić wiosłową łodzią. Samogłów nie musi się nigdzie spieszyć — spokojnie „pasie" się wśród planktonu, który tworzą małe, wodne stworzonka, i chętnie daje się unosić prądom morskim.

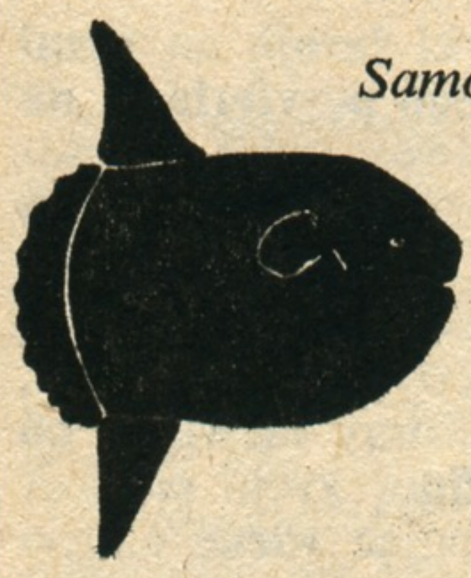

Samogłów

Konik morski

Do najdziwniejszych i najmniej ruchliwych ryb należy konik morski. Uczepiwszy się jakiejś rośliny swoim chwytnym ogonkiem tkwi nieruchomo wśród wodnych łąk,

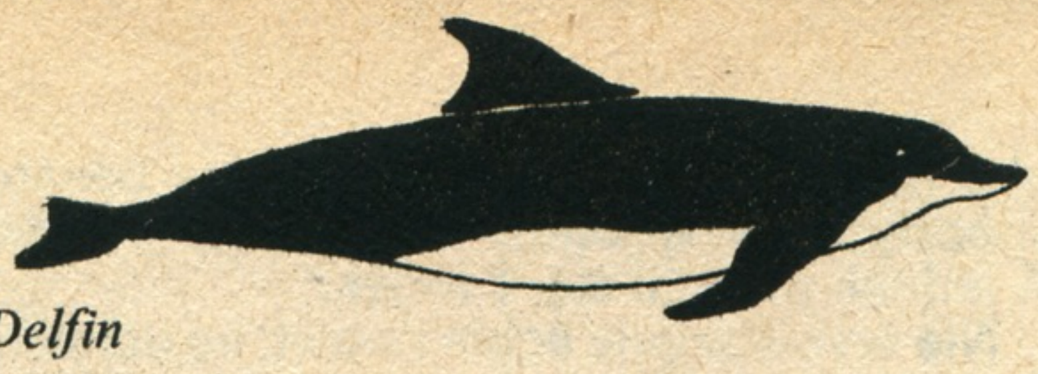

Delfin

a wokół niego kręci się mnóstwo maleńkich zwierzątek, które rybka chwyta swym długim pyszczkiem. Konik morski pływając zwija i rozwija ogonek oraz szybko macha płetwami i w ten sposób wolno sunie do góry.

Przyznacie, że budowa ciała tych dwóch ostatnich przedstawicieli rybiego rodu bardzo odbiega od obłej sylwetki ryb szybko pływających. Widzicie więc, że już na podstawie samego tylko wyglądu można wnioskować, czy dane zwierzę porusza się mniej czy bardziej sprawnie. Można też zaryzykować stwierdzenie, że im więcej urozmaiceń, wypustek zwiększających powierzchnię ciała, tym gorszym pływakiem jest ryba.

*

Wymienione przykładowo ryby pływają to wyjątkowo dobrze, to znów posiadły tę umiejętność w ograniczonym stopniu. Między tymi skrajnościami istnieją tysiące przedstawicielek rybiego rodu prezentujących wiele możliwości i sposobów poruszania się.

Anna Siwkiewicz

Gry planszowe i łamigłówki „Płomyczka"

CUDAKI TANGRAMOWE

po raz drugi

Przed miesiącem opowiadałem Wam starą chińską legendę o uczonym Tangu, który wymyślił pomysłową łamigłówkę, aby leniwych urzędników cesarskich móc łatwiej nauczyć geometrii, aby kształcić ich wyobraźnię i fantazję.

Wspominałem też, że owe chińskie łamigłówki cieszyły się u nas niemałą popularnością już przed wieloma laty. Ba, znajdowały się niemal we wszystkich zbiorkach poświęconych grom i rozrywkom umysłowym.

„Młodzieży szkolnej gry bywają różne, z tych jedne służą do nabycia niejako wprawy i cierpliwości, drugie nadają ruch ciału" — notował już przed stu pięćdziesięciu laty imć pan Łukasz Gołębiowski, jeden z nielicznych badaczy rozrywek dawnych Polaków, członek Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk, a zarazem autor sążnistego dzieła pt. „Gry i zabawy różnych stanów w kraju całym lub niektórych tylko prowincjach".

Oczywiście, wśród gier, które do nabycia wprawy i cierpliwości służyć miały braci żakowskiej, znajdował się również tangram. „Ł a m i g ł ó w k a — jak powiedział o nim zacny pan Łukasz — z siedmiu sztuczek, dwóch trójkątów większych, dwóch małych, jednego średniego, czworokąta prostokątnego i ukośnego, różne się figury układa, naśladuje odrysowane; odgadnąć niektóre trudno bardzo, wprawia to młode głowy do kombinacji matematycznych".

Czy układanie zadań tangramowych jest trudne?

Odpowiem na to pytanie przykładem.

Przed kilkoma laty wybrałem się na urlop nad morze, do Rogowa. Poza piłką, kometką, aparatem fotograficznym i innymi — jak mi się wydawało niezbędnymi — przedmiotami, wrzuciłem do walizki także komplet tangramowy. Wziąłem go, nie bardzo wiedząc, czy w ogóle się na coś przyda. A jednak przydał się. I to jak.

Nie wyobrażacie sobie nawet, ile uciechy może dostarczyć tangram podczas deszczowych godzin, w czasie których nie bardzo wiadomo, co z sobą zrobić. W układanie tangramowych sylwetek bawiliśmy się w trójkę. Byłem bowiem wraz z dwiema przemiłymi pannami, ośmioletnią wówczas Ewą i nieco starszą, dwunastoletnią Krystyną. Świadomie podaję wiek dziewcząt, abyście mogli przekonać się, że nie „święci staruszkowie garnki lepią".

Deszcz przestał być dla nas zmorą. Mieliśmy przecież pyszną zabawę. A i efekt okazał się niebagatelny. Łamigłówki obydwu dziewcząt zaskakiwały oryginalnością. Ewa celowała w układaniu sylwetek ze swego dziecięcego świata, a więc takich jak: żar-ptak, krasnal, biegnący osiołek, kotek, Krysia zaś komponowała sylwetki bardziej „dorosłe": portowego żurawia, seniorę z wachlarzem, odpoczywającego pelikana, tragarza.

Podczas zabawy nasunęła się nam uwaga praktyczna, którą polecam przede wszystkim autorom nowych zadań. Przed układaniem części tangramowe ponumerujcie, a po zbudowaniu jakiejś figury naszkicujcie ją na papierze, odpowiednio zaznaczając elementy cyferkami. Tylko w ten sposób ocalicie swoje zadania od zapomnienia. No i będziecie mieć własne, oryginalne łamigłówki do zadawania kolegom.

Spośród wielu tangramowych łamigłówek wybrałem dla Was pięć. Oto żartobliwe sylwetki: kangur, zamyślony kot, żaglówka, drzemiący Indianin oraz niewielki domek. Spróbujcie, może zdołacie je po kolei utworzyć z siedmiu „klocków" legendarnego chińskiego mędrca.

Na zakończenie przypominam raz jeszcze reguły obowiązujące w tej zabawie:

- Do ułożenia każdej figury należy wykorzystać wszystkie siedem części tangramu.
- Części tangramu powinny stykać się ze sobą bokami (lub wierzchołkami), nie mogą natomiast nakładać się na siebie nawet częścią powierzchni (z czego wniosek, że płaszczyzny tangramowych „klocków" po ułożeniu dowolnej figury powinny być widoczne w całości).
- Poszczególne części tangramu można odwracać na dowolną stronę.

Wesołej zabawy!

Zdzisław Nowak

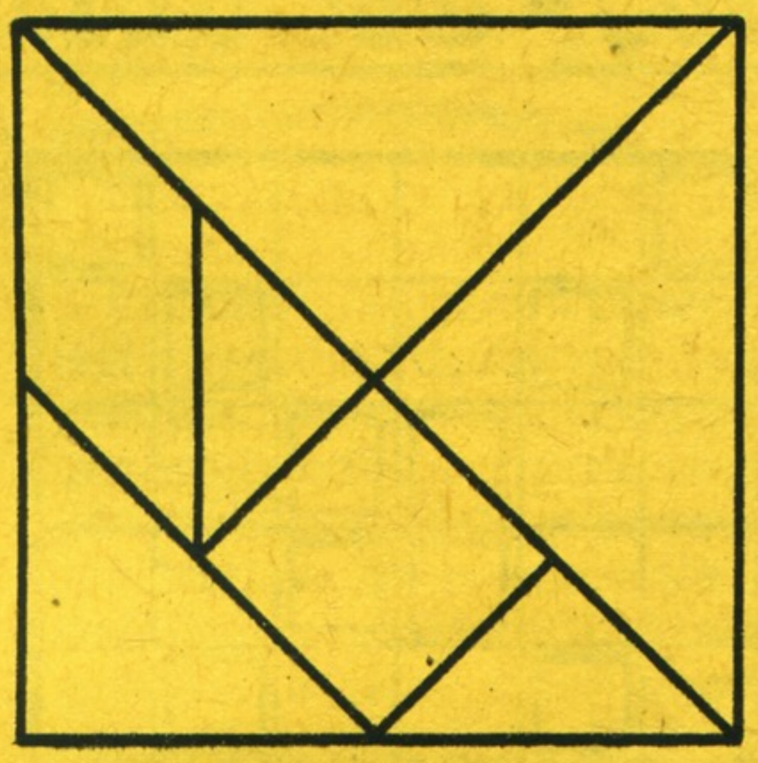

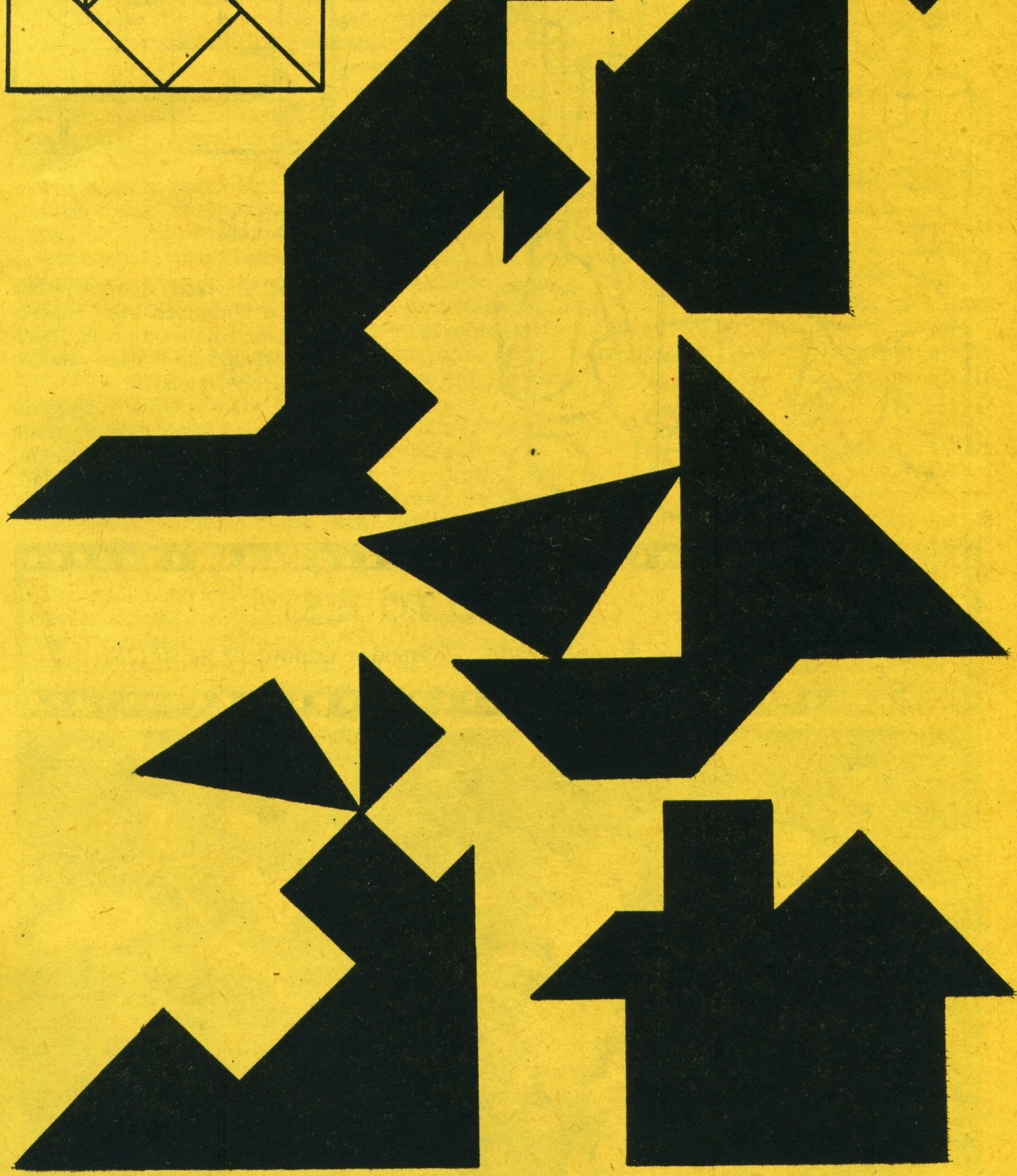

Ile przedmiotów?

Przyjrzyjcie się uważnie i policzcie, ile przedmiotów jest przedstawionych na tym rysunku?

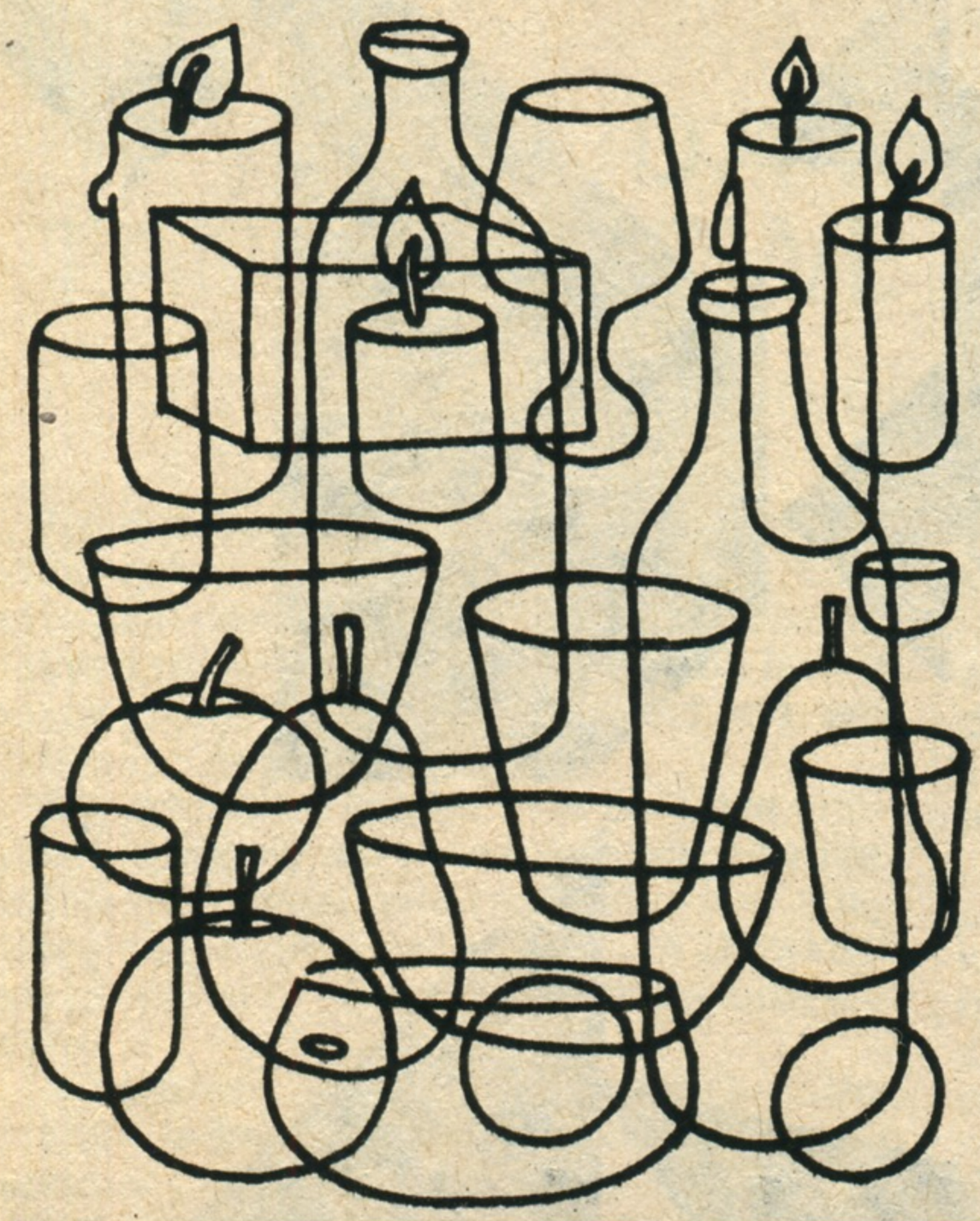

Ukośnik

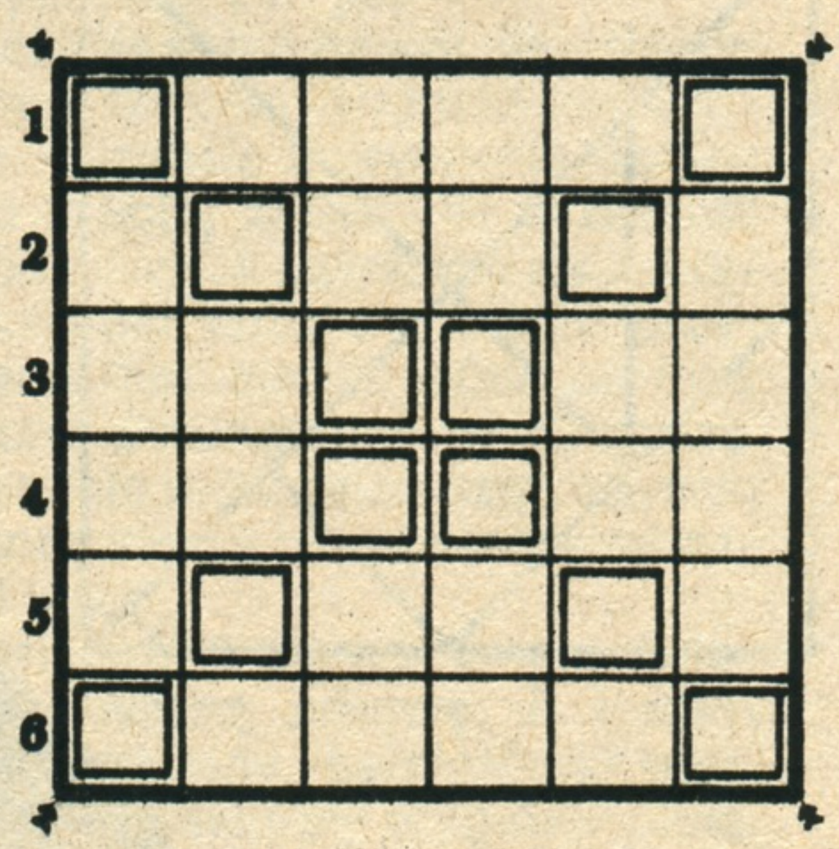

W poziome rzędy figury wpiszcie wyrazy o podanych niżej znaczeniach. Litery na dwu przekątnych dadzą rozwiązanie — nazwy dwóch stolic europejskich.

Znaczenie wyrazów: 1. służy do zamiatania, 2. część nogi, 3. ptasie niemowlę, 4. miasto z Wawelem, 5. płynie z flisakiem, 6. czarny ląd.

FOTO zagadka

CO TO JEST?

Kto nie zgadnie — znajdzie odpowiedź na str. 23.

Fot. Sabina Uścińska-Siwczuk

NASZ ZWIERZYNIEC

SUM
(Silurus glanis)

Chciałoby się o nim powiedzieć — dostojny pan sum, gdyż jest poważną i dużą rybą, największą w naszych wodach po jesiotrze. Dostojności przydają mu trzy pary wąsów i wielka głowa. Najdłuższa para wąsów ciągnie się od kąta wargi górnej aż do płetw piersiowych, dwie krótsze pary zdobią podbródek. Sum ma małe oczy, grzbiet ciała oliwkowo-ciemnoszary, spód żółtokremowy, boki pigmentowane pie-gowato, a jego ogon ma deseń marmurka. Sum może osiągać nawet 3 m długości i ważyć 200 kg. Żyje przy-dennie w mulistych rzekach i jeziorach. Nie znosi czystych, górskich strumieni. Jest słynnym żabojadem. Ulubionym jego pokarmem są też ukleje, raki i kijanki. Ale nie jest padlinożercą, za jakiego mają go niektórzy wyznawcy religii mojżeszowej. Przykazano im ongiś: „Nie będziesz spożywał ryby bez łuski". Mądry to był zakaz w czasach, gdy nie było chłodziarek i zamrażarek. Ryby bezłuskie, jak sum, węgorz czy piskorz, psują się najszybciej spośród innych. W ich rozkładających się wnętrznościach powstają jady powodu-jące u ludzi ciężkie schorzenia, a nawet śmierć. Nie lubią też suma hodowcy ryb, gdyż zjada im duże ilości cennego narybku. Próbowano hodować suma na Węgrzech, gdyż jego mięso jest smaczne i nieościste.

Kiedyś na Polesiu w każdym bajorku żyły niezliczone ilości tłustych piskorzy, podobnych do małych węgorzy. Poła-wiano je i suszono na sztywno, i w długie jesienne i zi-mowe wieczory używano jako świeczek. Jednym piskorzem można było oświetlać izbę przez dobrą godzinę, a światło było na tyle intensywne, że można było przy nim prząść kądziel.

Innym bliskim kuzynem suma jest sum elektryczny, żyjący w Nilu. Ryba ta między głową i ogonem może wytwarzać prąd o napięciu 600 woltów. Porażając prądem sum ele-ktryczny broni się, ale i napada na duże ryby. Sum jest drapieżnikiem jak szczupak czy okoń, jak koryfena — piękna o mieniących się kolorach morska ryba polująca na ryby latające, zwane ptaszorami lub skoklotami. One to dzięki płetwom podobnym do skrzydeł mogą wyskakiwać z wody w ucieczce przed drapieżnikami i lecieć w powietrzu nawet na odległość 100 m. Sum gdzieś na dnie Wisły o takim wyczynie może sobie tylko pomarzyć.

Franciszek Kobryńczuk
Rys. Justyna Bednarska

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY NA ROK 1989:
kwartalnie — 420 zł,
półrocznie — 840 zł,
rocznie — 1680 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Alicja Olszewska (sekretarz redakcji) Jadwiga Przeczek, Stefan Rutkowski (fotoreporter), Sabina Uścińska-Siwczuk (kierownik działu graficznego).

RADA REDAKCYJNA:
Wojciech Żukrowski (przewodniczący), Hanna Bielawska, Jerzy Flisak, Ewa Jóźwiak, Ludwik Jerzy Kern, Janina Mazur, Ewa Maria Pawlikowska, Zbigniew Pawłowski, Ewa Sadowska, Maria Wieliczko, Stanisław Wróblewski, Jerzy Zakrocki

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietów wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO XV Oddział w Warszawie Nr 1658-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny:
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

DRUKARNIA WYDAWNICZA IM. W. L. ANCZYCA, KRAKÓW, UL. WADOWICKA 8.
Papier rotogr. 70 g, rola 75 cm, kl. III.

Zam. 7167/88 O-3
Nakład 280 300
ISSN 0137-8511

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

SUM

Fot. Michał Wlaziński *Rys. Justyna Bednarska*

CENA 70 ZŁ